1844. Nr 23. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Wspomnienia mojéj młodości.

(Dalszy ciąg).

Gdy się pozostałością po ojcu zajęto, pokazało się, iż jako tako parę lat jeszcze w szkołach pobyć możemy. Brat Jędrzéj udał się do Krakowa, ja na powrot do Tarnowa do mego Węgrzyna Wrerena. Jednakże fundusz na moje utrzymanie w Tarnowie, lubo najskromniejsze, na rok tylko wystarczał, gdy mi 3 lata koniecznie do ukończenia szkół było potrzeba. Zmuszony byłem dzieci uczyć po domach, lubo najmniéj miałem do tego usposobienia, a to szczególniéj z powodu powolności, która dla zbyt żywych w tych stronach dzieci nie była stosowną. Mój zawód pedagogiczny, wypadało

mi zacząć od synków Żyda zamożnego, który nie chodził w zwykłym ubiorze żydowskim, i pragnął szczególniéj aby dzieci po polsku umiały. Wybór do tego zdarzyły nie moje zdolności ale pokora i powolność, która mnie z oczu i ubioru oznaczała. Dla Żydków bojaźliwych, od młodzieży prześladowanych, takiego było potrzeba. Jakoż dobrze obie strony wyszły, bo te dzieci były niezmiernie posłuszne, a przytém pokorne, i ja nie potrzebowałem dodawać sobie powagi pedagogicznéj. Postęp był coraz lepszy, ojciec po dwa razy podwyższył mi wynagrodzenie, a matka rozpłakała się z radości, gdy dziécie najmłodsze płynnie czytało. W dzień sabatu miałem zawsze wyborne ciasta dane do chustki, które pożywałem z kolegami, a ci powoli przestali mnie prześladować, żem jest żydowskim belforem. Miałem za te godziny 3 reńskie na miesiąc, co było płacą nadzwyczajnie hojną, gdy gdzieindziéj po jednym i pół tylko dawano. Nabierałem powoli wprawy w nauczaniu, lecz za to, uczenie się szło bardzo niepomyślnie. Gimnazyalne szkoły w Galicyi wówczas urządzone były tak, że prócz języka łacińskiego i niemieckiego, żadnéj prawie nauki powziąść w szkołach nie można było, sintaxis, retoryka i poetyka, w najdrobniejszych szczegółach zawikłane, nużyły umysł i obciążały pamięć; miałem do nich wstręt najwyższy, natomiast wolałem tłumaczyć autorów; w pierwszym roku mieliśmy professora, pod którym cały rok zszedł na niczém. Był to pijak i cynik w najwyższym znaczeniu wyrazu; cała przestrzeń jego płaszcza między podszewką a suknem, zapełnioną była kajetami naszemi, które stanowiły pościel tego filozofa, jak go nazywano. W mieszkaniu jego żadnego, co się zowie, sprzętu nie było, natomiast cała podłoga osuta barłogiem, która stanowiła obszerne łoże, a kajeta za poduszkę służyły. W płaszczu mieściły się czasem butelki węgrzyna, z których popijał bez względu, gdzie myśl do tego przyszła, czy na ulicy, czy w szkole. Lekcije swoje przekrzyczał z całéj siły głosem olbrzymim, rzucaliśmy wtedy na niego gałki z papieru i piasku,

które z stoicką wytrwałością chwytał i do innych zasobów w swym płaszczu usuwał, wciąż deklamując. Gdyśmy odbywali pobożne processije parami, komenderował nami głosem piorunającym, jak dywiziją dragonów, na widowisko ludowi. Nie pojmuję jakto wszystko cierpiano; ten nieszczęśliwy skończył przecież utratą rozumu, gdy krótki kożuch i karabelę przywdziawszy, podczas kazania wszedł na ambonę, kaznodzieję za kołnierz porwał i chciał mieć naukę. Ten wypadek zdał się bacznéj zwierzchności dostatecznym do usunięcia tego nauczyciela, jakoż jużeśmy go potém nie widzieli. — Był drugi professor, Niemiec, nazwiskiém Schmidt, którego zawsze zachowam w pamięci.—Proszę córki, dla któréj domowéj rozrywki godziny spoczynku pisaniu tych kartek poświęcam, aby kiedy i za niego westchnęła do Boga. — Stan poczciwego nauczyciela jest zawsze stanem męczeńskim, zasłużonym ludzkości, który niezawdzięczany cierpieć musi niesforności, jakie dzieci bądź od natury, bądź od rodziców przynoszą, który jak najemnik za lichą zapłatę co rok nowe pola obsiewać i plewić musi. Był to człowiek rzadko wolny od pedantyzmu, łagodnie i z przywiązaniem około swojéj winnicy chodzący. Postrzegł on niejakie naturalne zdolności moje w pismach, jakie mu po łacinie i po niemiecku podawałem. Gdy raz moję robotę rozbierał powiedział wręcz, iż ją przepisałem skądinąd. Pochlebiało to mojéj miłości własnéj, lecz razem napełniło żalem, iż o nauczycielu, któregom kochał, mieć nie mogę dobrego mniemania, który sam dał poznać, iż na nie zdołałem zasłużyć. — Zaprosił mnie raz na podwieczorek (były to dla mnie pierwsze w życiu zaprosiny), zręcznie i łagodnie począł wybadywać, lecz nieszczęściem nie poznał we mnie nic więcéj, jak zaród poety w jezyku, który uważał za niewdzięczny i już z narodem umierający. Zachęcał mnie do poezyi niemieckiéj, pożyczył mi pism Utza, Kleista, Hagedorna. Pożerałem szczególniéj Kleista, lecz zamiast probować sił w wierszach niemieckich, przynosiłem mu przekłady polskie z tychże poetów,

a jako wynagrodzenie za posłuszeństwo, oddawałem robotę w prozie niemieckiéj. — Obojętny był na to, że ze wszystkich współuczniów najmniéj się uczyłem obszernych przepisów o syllogizmach, a gdy się przekonał o zupełnym wstręcie moim do matematyki, któréj początki dopiéro w téj klassie dawano, całkiem mnie od niéj uwolnił. To jednak zupełne zaniedbanie téj nauki, wiele mi późniéj przykrości sprawiło. — Chciwy na książki polskie, nigdzie ich dostać nie mogłem, prócz niektórych romansów, które mnie wcale nie zajmowały. Z niemieckich, oprócz wspomnionych wyżéj poetów, udało mi się dostać Goethego i Wilanda niektóre poemata. Pierwszy długo był moim ulubieńcem i najwięcéj odpowiadał memu usposobieniu. Pisałem i tłumaczyłem po polsku, bez żadnego wyobrażenia o grammatyce języka, nawet pisowni polskiéj. Uzbierawszy sumkę przeszło zł. 10, znalazłem sposobność sprowadzić sobie parę książek polskich z Krakowa. Niecierpliowość moja w wyglądaniu sąsiada, który miał z niemi przybyć była taką, iż przez tydzień może wychodziłem pół mili na gościniec, ażali go nie spotkam. Zakazane było czytanie polskich książek z powodu, jak mówiono, aby nie zaniedbywać obych języków. Prefekt szkół dowiedział się o tym transporcie dla mnie, przybył do stancyi, i bez wszelkiego względu zabrał tę kontrabandę; książki te były: Wybór poezyi dla szkół przez Pijarów w Warszawie wydany— Paweł i Wirginia, przez B. de Saint-Piérre po polsku, i jakieś dziełko Floryana.—Obciążonego tym łupem księdza musiałem odprowadzić do domu, gdyż mieszkałem na wzgórku, z którego zejście podczas odwilży było śliskie. Prośby moje o oddanie tych książek były daremne. Często nawet odbierałem wyrzuty, iż czytam książki zakazane, co już wtenczas burzliwością nazywano. — Jednego razu, kupując u przekupki jagody, postrzegłem iż dla zrobienia trąbki dla ich wsypania, udarła z dawnéj książki kartkę z greckim drukiem, na któréj dostrzegłem napis: Rytmy Jana Kochanowskiego, którego tylko niektóre psalmy z książek nabożnych znałem.

Zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu porwałem książkę, a raczéj to, co jeszcze na trąbki nie poszło i najśpieszniéj z nią uciekłem. Przekupka, a za nią wszystkie towarzyszki narobiły hałasu, prefekt jakoś znalazł się na rynku, i tak zdobycz moję, jako niegodziwy winowajca oddać musiałem, a sam na kilka godzin poszedłem do kozy, gdzie miałem dosyć czasu dumać nad moją nieroztropnością, iż z właścicielką nie wszedłem w układy, któraby zapewne Rytmy Jana Kochanowskiego, zamieniła na jakie studenckie kajeta. — Uwolniony nie śmiałem się jéj i towarzyszom pokazać. — Wśród tych przeszkód przywiązanie moje do poezyi coraz więcéj wzrastało, najwięcéj czułem przyjemności ukryć się w zbożu i tam ołówkiem pisać, co mi na myśl przyszło i deklamować. Na pięknéj górze Śgo Marcina, przy gruzach zamku Tarnowskich, w ogrodzie Puślik, ćwierć mili od miasta, do księcia Sanguszki należącym, poddawałem się zewnętrznym wrażeniom i używałem. Roskoszna była blisko miasta dolina, prowadzona do drewnianego kościoła Śtéj Trójcy, środkiem któréj płynął potok pomiędzy olszynami, miejsce miłéj wrzawy różnego ptastwa. Lecz najmilsze były mi przechadzki po brzegu rzeki Biały lub po gościńcu; woda zdaleka daleko płynąca; spotykanie dalekich podróżnych, mianowicie furmanów niemieckich, których kraj przez poznanie poetów był dla mnie poetycznym; oto co daleko żywiéj do marzeń skłaniało, niż spokojne góry i doliny. Stawać przy oberżach, przypatrywać się podróżnym zakurzonym, brykom furmańskim, i przenosić się myślą w odległe miejsca, było to dla mnie niejako odbywać podróż w dalekie, urocze strony, do których tęschniłem. Długo nie miałem o szczęściu wyobrażenia wyższego, jak jechać i jechać najdaléj. Brat Jędrzéj pisywał do mnie ze Lwowa, przesyłając swoje poezije i rady nad mojemi. Czyste jego serce gorzało poeziją dla saméj cnoty, i wszystkie jego listy dążyły najwięcéj do obudzenia we mnie moralnych uczuć. Nie miałem podówczas ważniejszéj chwili życia, jak gdy mi przysłał drukowany tomik

swoich poezyj, w którym, miłością braterską powodowany, umieścił parę mych wierszy. Radość ze sławy brata i mojéj była trudną do wyrażenia; to tylko nieprzyjemnie mi było, iż czyniąc wzmiankę o mnie, który już retoryki słuchałem, małym chłopcem mnie nazwał; w saméj rzeczy pochwała ta mogłaby mieć na mnie wpływ szkodliwy, gdybym był otoczony ludźmi, coby na studenta jakąkolwiek uwagę zwrócili. — Z honorarium jakie za to pismo otrzymał, udzielił mi 5 zł. reńskich; wiadomość o tém więcéj niżeli o książce rozeszła się między kolegami, z któremi tę summę upojony radością w większéj części straciłem. — W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednéj istoty, którаby moje zamiłowanie dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę, nie tak obcowania z poeziją jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywo zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana, trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniem. Młodzieniec jeden, Karpiński, samém nazwiskiem zwrócił na siebie moję uwagę, choć nie był krewnym poety, i do poezyi najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce i stąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie imieniu był poetą. Dobroć jego czyniła co mogła, jam zachęcał, pomagał, ale to nie szło— ubogi i słabowity przestał do szkół chodzić i więcéj o nim nie słyszałem.

W Adamie Chłędowskim spodziewałem się znaleść skarb, któregom pragnął; wychowanie jego było staranne w domu; miał wiele książek, map i rysunków; był jednym z najzdatniejszych i najciekawszych, ale przesadzonéj mojéj sentymentalności wcale nie odpowiedział. Pisałem do niego wiersze pełne uniesień przyjaźni, kochałem go tém więcéj, że wzajemności nie widziałem; jego ton zawsze żartobliwy, dobry byt w porównaniu z mojém ubóstwem, czyniły mnie do niego nieśmiałym, i często w samotności płakałem nad moją nieszczęśliwą przyjaźnią. Bywałem jednak u niego aż do czasu, gdy

sryj jego z prowincyi przybył, i ujrzawszy mnie i po moich ubogich sukniach osądziwszy, chcąc synowca swego od złego towarzystwa uchronić, groźnym tonem kazał mi się oddalić, co na mnie takie sprawiło wrażenie, że z Chłędowskim wszędzie wszelkiéj unikałem rozmowy, i poznałem, iż to zdarzenie było dla niego obojętném. Do dziś dnia łączyły mnie z Chłęgowskim różne stosunki, ale żaden ślad dawnéj przyjaźni, odnowić się nie mógł. — Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie tylko egzaltowana moja wyobraźnia wystawić mogła.— Był to syn professora, Parczewski Karol, o parę i więcéj lat odemnie młodszy, pobożny, pracowity, w mych czasach piękny jak anioł, zawsze uniesiony, pełen do poezyi skłonności. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszéj najgorętszéj przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się oddalił i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilkanaście dni już znaleziono jego ciało okropnie oszpecone i przywieziono do domu. — Całą noc po tym widoku nie spałem i łzami papier polewając, napisałem Elegią na śmierć nieszczęśliwego, jedyna poezija którą spółkolegom przeczytałem, która ich wszystkich zajęła, jako wynikła z zdarzenia, które na wszystkich uczyniło wrażenie. Nawet professorowie pochwalili tę moją pracę, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje objęcia, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincyi przybyła. Ona rzewnie płacząc ściskała mnie, według jéj wyrazów, jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które jéj doszły. — Mało kto może uwierzy, że to był dla mnie pierwszy uścisk kobiety i matki, że to było u mnie rzeczą nadzwyczajną, i żem płakał jak małe dziécie myśląc, że nie mam Matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą. — Ani Parczewski, ani ja nic nie wiedzieliśmy o sławnéj przyjaźni u Greków, ale wzajemnie nasze przywiązanie było nadzwyczajne, i śmiem powiedzieć, przypominało przyjaźń grecką.

Pisaliśmy do siebie nawzajem wiersze pełne naszych najżywszych uniesień przyjaźni, przy powitaniu i żegnaniu na parę godzin Inie mogliśmy się od ust oderwać, niceśmy nie mieli skrytego, nic osobnego dla siebie. Uczucie pobożności wzbiło nas do takiéj pobożności, żeśmy po kościołach, po cmentarzach razem chodzili, na klęczkach się modlili: on za mnie, ja za niego, on za moich zmarłych, ja za jego żywych rodziców. Płakaiśmy razem z rożrzewieniem, jak ludzie naszczególniejsi i kryli się przed płochą młodzieżą, któraby nas z tych uczuć wyśmiewać mogła. Z nim zapomniałem o wszelkiéj sztuce w poezyi: uczucie, i tylko wzajemne dla siebie uczucie, nas zajmowało. Płakaliśmy, ściskali się, gdyśmy co razem swojego lub obcego czytali. Martwiłem się skrycie, żem jego niegodny; postać jego była ujmującą: rumieniec przy białości i przy krętych włosach płowych, ubiór staranny, a najwięcéj piękne polorowne ułożenie, czyniły go w moich oczach czemś niezmiernie wyższém nademnie. Ja dzikości mojéj dotąd nie pozbyłem się, i ubiór był ułożeniu memu odpowiedni; sam jeden chodziłem w surduciku z płócienka z czarnemi prążkami, co mnie dziwnie oryginalnym czyniło. — Po długich prośbach i wahaniu się, ośmieliłem się wejść do jego rodziców. Ojciec prosty i poczciwy, zalecił mi uczyć się pilnie języków, i przyjął bezpłatnie na lekcije języka franczkiego, który on jeden prywatnie w Tarnowie wykładał. Matka wdała się w moje domowe potrzeby, które, jak dla mnie były istotném dobrodziejstwem, tak truły we mnie dotąd tak czyste uczucia przyjaźni; tłumiłem je w sobie, jątrząc sie myślą, czy podejrzane nie będą.— To zaczęcie życia prawdziwie dla mnie elizejskiego, przerwane zostało oddaleniem się mojém na wieś do Służewa, gdzie ugodzony byłem do 4ch synów, których miałem być instruktorem. Służewski był obywatel na jednéj małéj wiosce, mający 7 synów, dla których całe życie poświęcał. Sześć tygodni tylko w tym domu przepędziłem, gdzie panowały staropolskie obyczaje, prostota i zgoda domowa, byłyby dla mnie przyjemne, gdybym był w stanie

podołać moim obowiązkom, prowadzenia czterech niezmiernie żywych wyrostków, z których dwaj nie o wiele młodsi odemnie byli. Na szlachectwie tu także bardzo wiele zakładano i dla tego obiecywałem sobie nieprzyjemność, gdy tamże zastałem moję dawną wdowę panią Putiatycką, która podupadła na biednéj swojéj fortunie i na zdrowiu, i w tym domu jako krewna przytułek znalazła; lecz ujrzałem ją nader uprzejmą i pełną dla mnie dobroci, ku czemu posłużyła szczególniéj następna okoliczność. Uboga moja garderoba dochodziła do tego stanu ostateczności, tak dalece, że zmuszony byłem jedyny mój surducik igłą od zupełnego rozprzężenia jego części ratować, zwłaszcza, na dzień imienin gospodarza domu. Dla spokojnego odbycia téj operacyi udałem się w gęstwinę nad strumykiem, gdzie się lubiłem z moim ołówkiem przechadzać. Kiedy w największéj spokojności dzieło moje do połowy doszło, z niemałém pomięszaniem ujrzałem przed sobą panią Putiatycką. Niepodobna mi było zarzucić sukni będącéj właśnie w robocie, ani śmiałem stanąć przed damą nawpółrozebrany. Z największą jednak łagodnością wyprowadziła mnie sama z ambarasu unikając wszelkiego zawstydzenia; rzuciła znawczém okiem na moję pracę, uczyniła krytyczne objaśnienia, w końcu podjęła się sama restauracyi mego surduta i śpiesznie oddaliła się po lepsze igłę i nici. Jakoż po krótkiem posiedzeniu dzieło zostało ukończone; wśród roboty usłyszałem dosyć dorzecznych morałów o pracowitości i znoszeniu ubóstwa; nakoniec względne przyrzeczenie, że ten wypadek zostanie między obójgiem świętą tajemnicą. Miałem dla téj damy największy szacunek, a ona była dla mnie uprzedzającą. Po ferijach udałem się z memi elewami do Tarnowa. Dla pięciu nájęty mieliśmy alkierzyk u krawca, z taką ugodą, iż gospodyni obowiązana była gotować nam żywność, którą posłaniec ze wsi co sobota na plecach przynosił, z pewną summką na mięso, cztery razy na tydzień w mieście kupowane; miałem na śpiżarnię obszerną skrzynię, któréj byłem szafarzem. Przy takiém mieszkaniu stałe mia-

łem wynagrodzenie 25 ryńskich na rok. Tém i parą innych lekcyj opędzałem wszystkie moje potrzeby, gdyż od opiekuna i od krewnych już żadnéj nie miałem pomocy.

Z Parczewskim żyliśmy jak dwaj bracia, i matka jego okazała dla mnie macierzyńską troskliwość. Zapobiegała różnym moim potrzebom i w przypadłéj chorobie wszelką dawała pomoc. Czytaliśmy bardzo wiele, gdyż miał sposobność dostawania z różnych miejsc książek, między żytem, po swojemu schronieni, przeczytaliśmy Iliadę Dmóchowskiego i Wybór pisarzów polskich, których Mostowski zaczął wydawać. Więcéj jednak niż wszystko zajęły nas Nocy Jounga prozą w Lublinie wydane; dręczyliśmy biedną jego matkę, czytając jéj jednotonnie to dzieło mimo wzniosłości dość z siebie nudne.—

Kończąc już ostatnią klassę szkół, zacząłem uczuwać niespokojność o moję przyszłość. Ile opiekuna wyrozumieć mogłem, dał mi do poznania, że najlepiéj będzie udać się gdzie do dworu za pisarza—lub wejść do wojska austrijackiego, i raz mi powiedział: „żołnierzowi prostemu bardzo przystoi, gdy po mustrze przy książce spoczywa.“ Niewola uczenia dzieci zdała mi się nieznośną; macocha ujeżdżała często 4 konie w paradnym pojeździe po rynku Tarnowskim, lecz ani o mnie kiedy się spytała, ani ja do niéj zgłosić się nie śmiałem. —

Po utworzeniu księstwa warszawskiego zaczęły nas dochodzić niektóre gazety warszawskie; coraz powszechniejsze były roznowy o niéj i o Polsce, mnie najwięcéj zajmowały literackie wiadomości. Czytałem o biskupie Albertrandym, i któś wystawił mi bardzo jego gorliwość i zamiłowanie w ludziach oddających się naukom. Snowałem więc różne projekta dostania się do Warszawy, ale widziałem zupełnie moję niemożność przy takich środkach; zebrałem co mi się najlepszego z moich rymów zdało, napisałem list pełen zapału do biskupa Albertrandego, prosząc, aby mnie do jakichkolwiek usług w Warszawie przyjął. List ten nie miałby był zapewne skutku, gdyby był doszedł, lecz odebrałem go napowrót z poczty, gdyż

właśnie w tym czasie Albertrandy żyć przestał. Oddano mi go odpieczętowany z połajaniem, gdyż był pełen niewczesnych patrijotycznych uniesień.—

Trudno sobie wystawić, jak mało mieliśmy wszyscy młodzi wyobrażenia o naszéj Polsce, o jéj dziejach i stanie; miłość ku niéj żyła tylko wrodzoném uczuciem, niedokładnemi tradycijamy i jakąś przez zwyczaj szkolny odziedziczoną nienawiścią ku Niemcom. Ja téj nienawiści nie czułem; malowanie pięknéj natury w niemieckich poetach najwięcéj mnie zajmowało, przywiązały mnie oraz do ich kraju i ludzi, których sobie zawsze po Gesnerowsku wyobrażałem. Nawet w towarzystwie uczniów upatrywałem w ogóle więcéj przyjemności, może stąd, iż powszechnie byli prześladowani, ale więcéj dla tego iż mieli więcéj słodyczy i przywiązania do kraju, chociaż mniéj bystrości. Młodzież polska była wtedy daleko więcéj niż dzisiaj nieposkromioną. Bitwy z wieśniakami z okolic (nie mówię już o Żydach) rabowanie w żołnierski sposób owoców grochu, rzepy z pola, wyzywanie na kije były, to zwyczajne zabawy.—

Uczucia i rozmowy patrijotyczne odzywać się zaczęły od roku 1806, i mnóstwo młodzieży przez rozmaite dowcipne sposoby umiało się przedrzeć do szeregów Napoleona, i każdy z nas zakładał sobie, iż w tym tylko celu dorasta. Zjawiły się śpiewy patrijotyczne i dysputy o polityce, z którémi zawsze udawaliśmy się do lasu. O wolności, o prawach człowieka nie mieliśmy żadnego wyobrażenia; całą podnietą naszych uniesień było: imie Kościuszki i Dąbrowskiego, strój polski i język. Księstwo Warszawskie zdawało nam się krajem cudów, ziemią obiecaną; wszelkie, i groźne i łagodne środki ku zwróceniu nas do okazywania tych uczuć, były daremne. Przysłano raz z Wiednia pieśń niemiecką, to jest modlitwę za cesarza, aby w kościele śpiewaną była przez uczniów; kilku najstarszym, którzy zwykle podczas śpiewania zaczynali, zalecano wyuczyć nas téj pieśni do śpiewania w kościele. Nauka

odbywała się w polu, bez świadków, wynaleziono więc do téj pieśni nutę mazurka, i tak wyuczeni zaczęliśmy ją śpiewać z całéj mocy w kościele. Zdziwieni i nieszczęśliwi professorowie, obiegając nasze szeregi, nie mogli przerwać téj niedorzecznéj nuty. Przewódcy nasi skazani byli na klęczenie w środku kościoła przez msze całego roku, lecz wszystka młodzież umówiła się z niemi razem tę karę odbywać. Łagodny rząd austrijacki całą tę sprawę w kilka dni umorzył. W roku 1809, przed rozpoczęciem wojny, sztabowy oficer delegowany do naszych szkół, odczytał odezwę, zachęcając aby młodzież udawała się w szeregi do obrony cesarza i państwa austrijackiego. Po mowie z wielkim zapałem wynurzonéj zapytał, czy jest kto gotów bronić sprawę ojczyzny i króla. Po długiém milczeniu złośliwy jeden kolega wymówił moje nazwisko, kazano mi wystąpić na środek—szczupły, zdziwiony, a więcéj jeszcze przelękniony, wzbudziłem śmiech powszechny w delegacyi, professorach i uczniach; i w taki sposób zakończyła się ta scena patetyczna.—

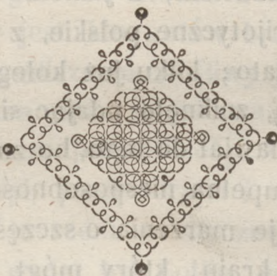
W tym czasie wydał był Collin, poeta, w Wiedniu pieśni patrijotyczne; poezije te były pełne czystéj miłości Ojczyzny, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów i tak mnie zajęły, iż nie wchodząc bynajmniéj, iż to Niemiec dla Niemców przeciw Francuzom, obrońcom Polski pisał, w kilka dni z łatwością, jakiéj dotąd nie czułem, wszystko wierszem polskim oddałem. Nie widziałem w tém nic nieprzyzwoitego, lub przeciwnego dobremu Polakowi; owszem zdawało mi się, że te uczucia są polskie, i nie mając myśli, żadnych wyrzutów, czytałem ją przyjaciołom, którzy tylko radzili mi zmienić miejsca gdzie była wzmianka lub o Niemcu lub o domu Habsburgskim. W kilka dni, gdy się ta moja praca rozeszła, wezwany zostałem urzędownie do kapitana cyrkułu. Trzymając w ręku pięknie pisane wszystkie te pieśni, oddał pochwałę memu patrijotyzmowi, z czego obecny prefekt szkół niezmiernie się cieszył i mnie w głowę całował. Urzędnik oświadczył nakoniec,

że ten mój przekład przesłany będzie do Wiednia, że mu znajomy jest mój stan, że zatém przedstawi mnie do instytutu Terezijańskiego w Wiedniu, gdzie na koszcie cesarskim wyższe nauki pobierać i ciągłéj opieki doznawać będę. —

Zadziwienie i radość moja chwilowa trudna jest do opisania. Być w Wiedniu pobierać wyższe nauki, mieć zapewniony dalszy sposób do życia, było to szczęście, które w ostateczności mojéj jak z nieba mi spadło.— Nie pojmuję skąd to poszło, że z kolegów tyle tchnących nienawiścią ku Niemcom, tyle zajętych toczącą się wojną w księstwie Warszawskiém, żaden nie dał mi uczuć nieprzyzwoitości mego położenia. Z tém samém niewinném uczuciem, z jakiém tłumaczyłem Collina, składałem pieśni patrijotyczne polskie, z których kilka jeszcze dotąd mi się dochowało; kilku już kolegów, mimo surowego zagrożenia szubienicą, zniknęło udając się do wojska polskiego; mnie nikt nie namawiał do tego, bo znaną była powszechnie moja słabowitość i zupełna niesposobność do wojska. Tymczasem wszystkie moje marzenia o szczęściu w Wiedniu, przemogła tęschność do kraju, który mógł nazwać się polskim. Całe wieczory trawiłem samotnie w Polsce, ze łzami wylewałem na papier różne uczucia, jakie mną miotały, czyniłem sobie wyrzuty, stanowiłem ujść do wojska polskiego, lecz natura moja wzdrygała się od wszelkich wojen. Parczewski odwodził mnie od myślenia o tém, ale uczucia zdawał się podzielać. — Przypadkiem zasłyszałem o jednym uczniu Niemierzycu, o 4 może lata młodszym odemnie, który miał zamiar do Polaków się udać. Jeden wieczor rozmowy ustalił nasze postanowienie, przedsięwzieliśmy nazajutrz wyruszyć. Pomógł do tego oficer polski przebrany, który przepisał nam drogę i przyrzekł pomoc obywatelów. Tego samego wieczora udałem się do Parczewskich, zwierzyć się mego zamiaru. Ojciec chciał niby o tém nie wiedzieć, matka i syn, lubo z płaczem, przystali na to. Rano nazajutrz o świcie udałem się jeszcze do nich; od matki otrzymałem naprzód medalik z Matką

Boską w skórkę obszyty, który mi kazała na piersiach nosić, trzy dukaty w złocie i kilkanaście reńskich, a nawet paczkę szarpii. Po rzewném błogosławieństwie i dziękach, pożegnałem przyjaciela i dobrodziejów, i w połączeniu z towarzyszem przygód ruszyliśmy polami w naszą podróż. Staranie tymczasowe o moich elewach aż do przyjazdu ojca przyjął na siebie Parczewski. —

(d. c. n.) *Kazimierz Brodziński.*



WYSPA

CZYLI

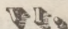
CHRYSTYAN I JEGO TOWARZYSZE.

(przekład z lorda Byrona).

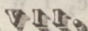
(Ciąg dalszy).

V.

W końcu Jan Skajskrep, owa niespokojna dusza,
Co jak wachlarz lub żywe srebro się porusza,
Nie tak mężny jak śmiały, i pragnący raczéj
Skończyć raz życie, jak się opierać rozpaczy,
Wykrzyknął: „God damn!“ Témi dobitnémi słowy
Oddana rdzeń angielskiéj rodziméj wymowy,
Jako „Allah!“ u Turka, lub czasy dawnémi
„Proh Jupiter!“ u Rzymian, w bałwochwalskiéj ziemi,
Używał ten, kto czując w sobie zawikłanie,
Uczuć swoich wyrazić głosem nie był w stanie,
Nigdy w takim kłopocie nie znano rycerza —
Jan nie wiedząc co mówić, przekleństwa wymierza;
I klął też nie daremnie; wspólne obu brzmienia
Budzą Bena z mocnego przy lulce uśpienia;
Przestaje zatém palić, i w koło wzrok toczy,
Lecz do przekleństwa dodał tylko swoje *oczy;*
Dopełniając tak zdania, co nie było całém,
Którego do mówienia powtarzać nie chciałem.



Lecz Chrystyan, z wnioślejszego rzędu, stał ponury,
Na wzór przygasłéj, ognie miotającéj góry;
Milczący, smutny, dziki, — a na jego twarzy
Zachmurzonéj, namiętność rozpala się, żarzy;
Aż znów podnosząc wzrok swój posępny, zaćmiony,
Ujrzał Torkwila, co się wspiérał osłabiony.
„Czy tak jest?“ wołał wtedy, „nieszczęsny młodzianie!
I *ciebie* także gubi moje obłąkanie.“
Rrzekł, i poszedł gdzie młody Torkwil stał omdlały,
Jeszcze krwią, którą przelał, pobroczony cały;
Wziął zlekka, lecz mu wcale nie uścisnął ręki,
Trwożny by mu pieszczoty nie zadały męki;
Pytał go jak mu przecie; gdy poznał, że rana
Nie taka, jak wystawia sobie myśl stroskana,
Chwilowa radość mu się na czole odbija,
Ile podobna chwila uniesieniu sprzyja.
„Tak jest“ zawołał, „oto wpadliśmy im w sidła,
Lecz my nie tchórze, to rzecz podła i obrzydła;
Drogo nas opłacili — zapłacą niemało, —
Ja zginę; lecz by tobie uciekać się zdało;
Byłaby to pociecha, gdybyś mógł żyć dłużéj,
Naszéj garstce już siła do walki nie służy.
O! gdyby łódka jaka, choć muszla jedyna,
Uniosła cię, gdzie leży nadziei kraina!
Co do mnie, już znalazłem, czegom pragnął tyle,
Żyć wolnym, niezlęknionym, lub legnąć w mogile.“



Właśnie kiedy to mówił, gdzie nadbrzeżna skała
Schyla się nad wodami, wysoka i biała,

Zjawia się ciemna plamka na morzu daleka,
Jak cień morskiego ptaka co spłoszon ucieka.
Coraz chyżéj pomyka — patrz! druga dogania —
Raz widna — znowu wzdęta ją fala zasłania;
I coraz, coraz bliżéj płynie orszak mały,
Aż się ciemne im znane twarze ukazały;
Spieniona morska woda tak ich lekko niosła,
Jak skrzydła ptaków, mile igrały ich wiosła,
Nad strzępioną zwieszając się falą, a potém
Wracały uderzając o wodę z łoskotem,
Która płatkami wrzącą pianę szle daleko,
Lub spada w drobnych kroplach, co jak dészczyk cieką.
Każda z łódek przez wały wzniesione się zbliża,
Jako śród chmur przelata zgraja ptaków chyża.
Ta sztuka im wrodzona — tak płyną po fali
Ci, którzy od kolebki z wodami igrali.

VIII.

Któż ta, co piérwsza wyskoczywszy z łodzi,
Jak wodna nimfa z muszli na ziemię wychodzi,
Łza ciemnéj, lśniącéj twarzy dodaje uroku,
Miłość, stałość, nadzieja jaśnieją w jéj oku?
To Neuha, — czuła, wierna i godna kochania,
Swém sercem jak strumieniem Torkwila pochłania;
Śmieje się, płacze, ściska coraz silniéj, rada,
Jakby pewną być chciała, że już go posiada;
Drży, ujrzawszy krew; znowu myśląc, że z téj rany
Nie umrze, więc się śmieje, płącze na przemiany.
Zniosła ten widok, jako córa wojownika,
Czuje smutek, jednak jéj rozpacz nie przenika.
Żył jéj luby, — nie mogła bojaźń ani wrogi
Zniszczyć ich zupełnego szczęścia w chwili drogiéj:

Radość znaczą jéj łkania, łzy lane sowicie
Trzęsą jéj sercem, że aż s ł y c h a ć jego bicie;
A raj cały oddychał w jéj czułém westchnieniu,
Tego dziecka przyrody w szczęścia upojeniu.



Wzruszyli się surowi, widząc ich spotkanie;
Możnaż inaczéj patrzyć na serc powitanie?
I Chrystyan patrzał na to dziéwczę, na młodziana,
Suchém okiem, lecz radość z smutkiem pomięszana
Kłóciła gorżkie myśli, które dusza klei
Z widziadeł lepszych czasów, bez gwiazdki nadziei,
Gdy ani śladu tęczy — już wszystko stracone.
„I dla mnie tylko! — rzecze — w inną idą stronę."
Potém na nich spogląda, jak w jaskini swojéj
Małych szczeniąt widokiem lew ciągle się poi;
Znów w ponurych marzeniach zatapia się cały,
Obojętny na losy, co go spotkać miały.



Lecz złym lub dobrym myślom nie sprzyja ta chwila;
Słychać na wodach, gdzie się przylądek nachyla,
Plusk wioseł nieprzyjaznych — Niestety! ta wrzawa,
Czegoż ich straszy wszystko, przeciw nim powstawa?
Co ich otacza, oprócz Toobonaju córy:
Ta, widząc zbrojne łodzie z-za nadbrzeżnéj góry
Płynące ku téj stronie, gdzie do szczętu mieli
Wytępić kilku zbiegów, co się ukryć chcieli,
Na krajowców, by wsiedli do łódek, nalega,
Umieszcza w niéj przychodniów, odpycha od brzega;
W jednę z towarzyszami dwoma wchodzi;
Ale ona Torkwila do swéj bierze łodzi,

Już się z nim nie rozstanie — Prędzéj! daléj! daléj!
Tak płyną przez zatokę, mkną szybko po fali,
Ku wysp gromadzie, gdzie się morskie ścielą ptaki,
I pies morski łożysko miéwa w norze jakiéj,
Od fali wymulonéj, po modrém wód łonie
Mkną szybko, szybko pędzą zajadłe pogonie.
Już, już ich doścignają — niekiedy w swéj drodze
Spóźnią się, — znów przyspieszą i grożą im srodze;
Nagle się w biegu obie rozdzielają łodzie,
I w różne wcale strony zmierzają po wodzie,
By zawieść ścigających — Prędzéj! daléj! daléj!
Bo dziś każdy ruch wiosła wam życie ocali,
Dla niéj więcéj niż życie albo wieki życia:
Wątła łódka z miłością dąży do ukrycia —
Teraz kryjówka blisko, i wróg się przybliża —
Jeszcze chwilkę! — uciekaj, arko zwinna, chyża!

PIEŚŃ IV.

I.

Jak biały żagiel na wód smętnym oceanie,
Gdy pół nieba się schmurzy, pół widném zostanie,
Między morzem a niebem buja i ucieka,
Ostatni blask nadziei takim jest dla człeka.
Podnosi się kotwica, lecz jeszcze wzrok mami,
Śnieżny żagiel srogiemi miotany wichrami;
Choć coraz bardziéj od nas rozłącza go fala,
Serce z odludnéj ziemi wciąż go śledzi zdala.

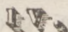
II.

Blisko przy Toobonaju wyspie skała dzika
Swoje łono nad morzem wznosi, z wód wymyka,
Jest to ptaków siedlisko, pustynia dla ludzi,
Gdzie pies morski spoczywa gdy się wiatrem strudzi,
I spi bezwładny w swojéj jaskini ponuréj,
Albo na słońcu pląsa i skacze do góry;
Słychać wrzask przeraźliwy, gdy wiosło te strony
Mija; tam się odzywa morski ptak spłoszony,
Nagi płód swój na nagiéj wychowuje skale,
I pierzastych rybaków wnet puszcza na fale.
Wąski odcinek piasku, jakby żółta wstęga,
Ciągnie się z jednéj strony, brzegu morza sięga:
Tu z swéj ciasnéj skorupy wygląda żółw' młody,
Lizie gdzie są rodzice do głębokiéj wody;
Dnia dziecie, światłem słońca ożywném karmione,
Lecz więcéj dla wód morskich, dla głębi stworzone.
A daléj groźna przepaść, gdzie żeglarz zobaczy,
Nie przytułek dla siebie lecz miejsce rozpaczy;
Gdzie po stracie okrętu płaczą ocaleni,
I zazdroszczą zginionym śród wodnéj przestrzeni.
Takiém była schronieniem ta posępna skała,
Gdzie Neuha przed pogonią lubego skryć chciała;
To jakaś tajemnica zakryta pomroką.
Jest tam skarb, lecz go ludzkie nie dostrzega oko.

III.

W tém miéjscu, nim się łódki rozłączyły obie,
Z statku, który Torkwila losy mieścił w sobie,
Za jéj rozkazem wszyscy przesiedli do łodzi.
Do garstki, z którą Chrystyan od brzegu uchodzi.

Chciał się on oprzeć temu: lecz uśmiechem ona
Wskazała tam, gdzie leży wyspa najeżona.
„Spiesz i niech ci się szczęści,“ wyrzekła te słowa,
Dla Torkwila na siebie wszystko wziąść gotowa.
Płynąc z dodaną siłą, łódź fale roztrąca,
Leci jak strzała, jako gwiazda spadająca,
Umyka od pogoni, co zmierza w téj chwili
Ku skale, gdzie się Neuha i Torkwil zbliżyli.
Dopływają; jéj dzielne choć drażliwe ramie
Idzie z morzem w zapasy, i siłę wód łamie,
Ledwie męskiéj Torkwila ustąpi dzielności.
Teraz łódka w tak małéj leży odległości
Od przepaścistéj, stroméj, nielitosnéj skały,
Któréj podstawą wody bezdenne się zdały;
A od nich o sto łodzi nieprzyjaciel stoi,
Gdzież się więc skryją, chyba w wątłéj łódce swojéj?
Torkwil bada ją okiem, w którém wyrzut skrycie
Mówi — „Neuho, czyś chciała, bym tu skończył życie?
Jest-że to miejsce pewne, albo grób gotowy,
A ta ogromna skała to kamień grobowy?“



Wstrzymali wiosła swoje, w tém Neuha powstaje,
A wskazując na bliskich nieprzyjacioł zgraję,
„Za mną, Torkwilu, śmiało, odważnie!“ wykrzyka,
I nagle w morską przepaść nurza się i znika.
Nie czas tu do namysłu — już blisko są wrogi —
Widzi więzy, i słyszy pogróżki, krzyk srogi.
Silą się, dopływają — wrzeszczą nań z daleka
By się poddał, i co go za występki czeka.
Rzuca się więc na głowę — że pływania sztuka,
Wrodzona mu, w niéj swego ocalenia szuka;

Lecz gdzież on? Dawszy nurka, nie wypływa wcale;
Zdumieni ludzie patrzą na brzegi na fale.
Wdrapać się na urwisko nie dokaże siła, —
Skała tak stroma, śliska, jakby lodu bryła.
Czatują jeszcze chwilkę, czy na wierzch nie spłynie,
Lecz i śladu nie widać na morskiéj głębinie:.
Odtąd jak raz zniknęli, wciąż się toczą wały,
Nie ujrzysz zmarszczek, coby ich losy wskazały;
Tylko się woda pieni, i wir się porusza
W miejscu, gdzie dom ostatni znalazła ich dusza;
Nad niemi biała piana jak grobowiec jaki,
(Nikt nie wzniesie pomnika dla żalu poznaki);
Łódź, która się na morzu kołysze, przechyla,
Jedyne są to ślady Neuhi i Torkwila;
Dla tego właśnie wszystko ludzie wziąść gotowi
Za marę, co się we śnie zjawia żeglarzowi.
Odpływają, daremne były ich szukania,
Nawet przesąd im dłużéj tu bawić zabrania.
Jedni mówią, że w wodę on nie skoczył z łodzi,
Lecz znikł jak upiór, który z mogiły wychodzi;
Drudzy nadzwyczajnego cóś w jego postaci
Widzą, że był słuszniejszy od ludzi-współbraci;
Wszyscy zaś twierdzą zgodnie, że z twarzy i z oka
Widna była wieczności śmiertelna pomroka.
A jednak, gdy już łódka od skały ich niosła,
Przy każdem zielsku chwilkę wstrzymują swe wiosła,
Myśląc, że ślad zdobyczy ujrzą jeszcze w dali;
Lecz nie — zniknął im z oczu, jak piana śród fali,



Gdzież jest ten co po morzach wiódł życie tułacze,
I skrył się z nimfą? Czy już na zawsze ich płacze

Ustały? lub w jaskinie koralów się skryli,
Litość i życie u wód sobie wyprosili?
Czy mieszkają z tajnemi wód morskich władcami,
I w urojone muszle dzwonią z syrenami?
Czy Neuha czesze włosy na morzu jak one,
Gdy ją na wierzch wyniosą fale rozpędzone?
Albo téż czy zginęli, i śpią cicho, mile,
W otchłani, gdzie się topiąc mieli mocy tyle?

VI.

Puszcza sie Neuha w głębię, Torkwil za nią goni;
Jéj droga śród tych wcale nie obcych jéj toni,
Jak mieszkańca żywiołu we własnéj przestrzeni, —
Pędzi raźno, odważnie, i wdzięk ją promieni.
Świetną pręgę zostawia, bo jéj pięta mała
Uderzając o wody, jakby stal jaśniała.
Tuż za nią, nie tak biegły w sztuce przenikania,
W głębiny, gdzie się nurek za perłą ugania,
Torkwil wzrosły na morzach w północnéj krainie,
Zręcznie po ciekłéj drodze i swobodnie płynie.
Spada Neuha w głębokie — coraz głębsze tonie —
Potém się w górę bierze — a wznosząc swe dłonie,
I odgarniając piane co moczy jéj włosy,
Smieje się, aż jéj skały wtórzą swemi głosy.
Dosięgli więc do państwa środkowego ziemi,
Lecz tu niéma pól, lasów, błękitów nad niémi,
Próżno śledzą; jaskinię wskazała mu ona,
Któréj jedną jest bramą fala nieprzymkniona, (*)

(*) Wiadomość o téj grocie (nie będącéj żadném zmyśleniem) znajduje się w 9 rozdziale Marinera *Opisu Wysp Tonga.* Użyłem wolności poetyckiéj, przenosząc onę na Toobonai, ostatnią wyspę, gdzie pozostała jeszcze pamięć Chrystyana i jego towarzyszów. *Lord Byron.*

(Przestwór gdzie promień słońca nie zagląda wcale,
Lecz przez zieloną, szklistą zasłonę, przez fale,
Wnika tu w dniu świątecznym, w dniu morskiéj pogody,
Gdy skrzydlaste mieszkańce swawolą śród wody),
Łzy z oczu Torkwilowi otarła włosami,
A widząc jego podziw, klasnęła rękami;
Prowadziła go w stronę, gdzie sterczące opoka,
Jakby chatka Trytona zdaje się dla oka,
Gdyż wszystko kryją cienie, a przez górne szpary
Światło dzienne tu wpuszcza nie zbyt hojne dary.
Jak we wnętrzu odwiecznéj świątyni ponuréj,
Zakurzone pomniki przed mdłym światłem z góry
Kryją się, tak z ciemnego pod wodą mieszkania
Światłość blada pomrokę słabo tylko zgania.



Dzika kobiéta miała w zanadrzu gotową,
W gęstéj tkance schowaną pochodnię sosnową;
Z wierzchu liść żabieńcowy nie dozwalał wcale,
By skrytą tam iskierkę zamoczyły fale.
Sucha jest — téj osłonki woda nie przenika;
Z innéj w listku kryjówki dobędzie krzemyka,
Nieco zeschłych gałązek, a nożem Torkwila
Skrzesze ognia, i wkrótce ozdabia, umila
Swiatłem pochodni grotę obszerną, wspaniałą.
Z wierzchu rodzime gockie sklepienie wisiało,
Tu budownik przyrody wzniósł owe arkady,
Nadsłupie zdziałać mogły drzące ziem posady;
Podpora z łona góry jakiéj się zwaliła,
Gdy bieguny trzaskały, woda światy kryła;
Lub stężała w trawiącym ląd ogniu środkowym,
Gdy się kurzył krąg ziemi na stosie grobowym;

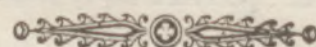
Szczyt rzezany, kaplicę i nawę wysoką (*)
Widać w jaskini cieniów, zalane pomroką.
Tu,z niewielką pomocą siły przywidzenia,
Nie jedna twarz dziwaczna krzywi się, odmienia,
Tam uroiwszy mitrę albo ołtarz jaki,
Łudzi się oko widząc mylne krzyża znaki.
Tak się przyroda bawi wodnémi kryształy,
I śród morza wystawia kościół okazały.

(d. c. n.) *A. Zawadzki.*

(*) Może to się wyda zbyt drobiazgowém opisaniem w porównaniu z ogólnym obrazem w *Opisie* Marinera, skąd je wziąłem. Lecz mało jest osób, któreby odbywały podróże, a nie widziały coś podobnego w tym rodzaju — rozumie się na *stałym lądzie*. Nie wspominając o Elorze, w dzienniku Mungo Parka ostatnim (jeśli mię pamięć nie zawodzi, bo już ośm lat upłynęło jak dzieło to czytałem) czyni on wzmiankę, że widział górę czyli też skałę, tak zupełnie podobną do gotyckiéj swiątyni, żę ledwie obejrzawszy ją dokładnie, mógł wpoić w siebie to przekonanie, że na dzieło przyrodzenia patrzy.



WIADOMOŚĆ O RĘKOPISMACH AUTORA POJATY.



Umieściliśmy w piśmie naszém obszerniejszą wiadomość o życiu Feliksa Bernatowicza, udzieloną Redakcyi przez osobę, która z samego źrodła mogła wszelkich zasięgnąć szczegółów. Gdy jednak z *Dziennika Powszechnego*, którego czas niejakiś, acz krótki, był Redaktorem pomieniony pisarz, a z *Dziennika* powstała Gazeta Poranna, która na naszę przeszła własność, i gdy w artykule o wspomnionym autorze, mało powiedzianém było o jego pismach, jakie zostawił, przeto staraliśmy się zewszą̨d dowiadywać w tym względzie o jego pracach — i następny wypadek poszukiwań naszych otrzymaliśmy.

Oprócz *Pojaty*, czyli *Litwinów w XIV wieku*, *Nałęcza*, *Nierozsądnych slubów* i *Powieści z podań obyczajów krajowych*, o których Seweryn Ciemniewski, z Czerwonki, zostający w stosunkach rodzinnych ze zmarłym romansopisarzem, napomknął, (*) — Feliks Bernatowicz zajmował się jeszcze wielą innémi pracami, o których następne umieszczamy wspomnienie:

Bezżeniec w kłopotach, komedija we trzech aktach, napisana w lipcu 1822 roku w Sieniawie.

(*) Patrz Nr. 7 Przeglądu Naukowego z r. b.

Madonna, czyli *Niemy rozkochany*, powieść we trzech, a jak niektórzy twierdzą we czterech tomach (*). Rękopism w Warszawie ma się znajdować u jakiegoś lubownika czy téż miłośnika piśmienności polskiéj; jednak nie widzieliśmy go dotąd.

Koczyk pomarańczowy w jednym tomiku powiastka. Także *Podróż z Kielc do Karlsbadu*, opisana przezeń, nie wiémy w jakich rozmiarach, czy téż jak wielkich ramach. Najprędzéj musi to być nie *obraz* ani nawet *obrazek*, ale tylko *szkic*, gdyż autor, jak się z jego Życiorysu pokazuje, kreślił go w ostatku swego zbolałego życia, w stanie chorobliwym.

Skreślił nareście wzmiankowany powieściopisarz *Żywot księcia jenerała ziem podolskich*, o którego ani objętości, ani miejscu znajdowania się wcale nie wiemy.

Tych kilku drobnych, dorzuconych wiadomostek, dla tego uznaliśmy tutaj potrzebę umieszczenia, aby zachować w piśmie naszém całość prac wspomnionego autora, które należą do uzupełnienia jego życiopisu, a może i do skarbnicy pamiątek literatury krajowéj. —

H. Sk.

(*) Autor zaś opisu życia jego w piśmie naszém, utrzymuje, że tylko we 2 tomach.



Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

Stronnice pisma nazego w niniejszym numerze, przeznaczone na latopis literacki, zająć chcemy samémi rzadkościami, osobliwościami, dziwotworami piśmienniczemi, a przynajmniéj rzeczami wcale dla naszych warszawskich czytelników nieznanémi, lub tak, jak nieznanémi, lubo niektóre z nich w saméjże ukazały się Warszawie.

347. Młodzież tegoczesna,

wierszém napisana przez Karola Heincza. W szesnastce str. 58 i *regestru* prenumeratorów 4. Bez wyrażenia miejsca druku, (dodajemy atoli, że w Berdyczowie).

Rzadko w Berdyczowie wychodzą (oprócz kalendarzy i książek do nabożeństwa), jakie dzieła, nie mówimy już ważniejsze i pożyteczne, ale przynajmniéj choć zajmujące. Od czasu niepoetycznych poezij Konstantego Piotrowskiego (1836 w 12ce) między któremi do znośniejszych wierszy należy elegija na śmierć Felińskiego, — piérwsza rymowana broszura tam wydana wpada w nasze ręce. Jakkolwiek to nie tegoroczny utwór, ale ponieważ żadne pismo czasowe 'polskie o nim dotąd nie wspomniało i zapewne nie wspomni, — przeto dla zupełności kroniki z lat zeszłych, musimy to arcydzieło

berdyczowsko-żytomierskie, do płodów literatury polskiéj zaciągnąć tutaj. Autor, rodem z Żytomierza, młodzieniec, zgorszony, jak widać, boragolstwem, postanowił wyśmiać takie towarzystwo w pomienionéj komedyjce. Niektóre zaraz nazwy osób trącą niepolszczyzną. Na przykład rządcę chciał p. Heincz (Chińcz) nazwać *Kręcielskim*, i przezwał go *Matalskim* (od wyrazu *matať*). Wiersz w bardzo wielu miejscach, już nie *częstochowski* ale *berdyczowski*. Prowincijonalizmów mnóstwo.

M.

348. Figle ułanów

Komedija w 1^{m} akcie. Wodewil z prawdziwego zdarzenia przez Karola Heincza. Bez wyrażenia miejsca druku, str. 23 w pokroju szesnastkowym; — na końcu *śpiéwy do Wodewilu* str. 6 i regestru prenumeratorów str. 4.

Treść téj sztuki nie wiele lepsza od poprzedzającéj. U sędziego *Groszoluba*, rotmistrz *Zuchowicz* za pomocą majora Rembusza i służącéj, wykrada Alinę, będącą na opiece, z którą sędzia dla widoków majątkowych, pomimo wieku podeszłego, chciał się żenić. Śpiewki nieszczególne. Najlepsza z nich piérwsza Grzegorza, lokaja sędziego. Życzylibyśmy autorowi, poznać naprzód zasady języka rodzinnego, a potém dopiéro pisać.

M.

349. Anakreontyki i komedyja Nikodemek:

przez hrabiego Marcina Krasickiego napisane. Wilno. W drukarni Manesa Romma, w dwunastce większéj, na bibule, stronnic 112.

Naprzód, oznajmiamy, iż autor. nie tylko w 35 roku swego życia, (jak sam powiada w przypisku że wtedy dopiéro zaczął pisać), ale nigdy-a-nigdy nie powinien był brać do ręki

pióra. Bo z imionami przodków, nie spływają na nas ich talenta. Mimo-to wszakże, Krasicki dał nam sto kilka kawałków wiérszowanych (i to jak wiérszowanych!) a do tego jeszcze w dodatku komediją wiérszem we 3 aktach, któréj pewnie żadnaby scena nie wystawiła. Książka ta jednak będzie rzadkością w krótce, bo autor (mieszkający w Pińskiém na Litwie), dla swóich tylko znajomych ją wytłoczył. Jeden z podobnie myślących poetów, który myślał, że z mianem protoplastów, odbiéra namaszczenie poetyczne, zaczął swe utwory jenijalne, od tego wzniosło-rymowego natchnienia:

Mych wiérszy,
Tom piérszy!

Nie-daleko odszedł i autor Anakreontyków. Proszęż przeczytać (kto zdoła) do końca *najlepszy* z jego wierszy:

Do czytelnika.

Płci piękna! płci nijaka! bez krasy znaczenia,
W niéj będąc, chcąc, czy niechcąc, sekret przeznaczenia —
Piérwszy! idę na wojnę, a co rządzą nami,
Choć my światem, lecz idę w walkę z kobiétami. —
Zadrżyj! ziemio, planety! zbledniéj miesiąc w pełni!
Roztrąć fale! Neptunie! wy rycerze dzielni! —
Co wam bardy śpiéwają nieśmiertelni w sławie,
Broń złóżcie, laury rzućcie! w hołd mojéj rozprawie —
Są plamy, lecz niewinne, wstydliwego słońca,
Zmarszczenie czoła niewiast, wymówne bez końca —
Których-że wdzięków władze, słabsze Cycerona?
Mimika słodkiéj mowy, kogoż nie pokona?
Bo któraż z niewiast, talizmanem cnoty
Nie ukrywa co myśli? a włada pieszczoty —

Sekret! tajnik! nad męskie z czarów przeniknienie,
Dniom wesołym, przyjemnym, daje przeznaczenie. —
A koziołki po czołach, niepojęcie znaczą,
Dam życie w minach kobiét, niech-że mi wybaczą!
Oczarują te pisma, kobiétek pojęcie,
Anakreon, mój przodek walczył w tém zawzięcie —
Ta wojna mnie z honorem, przegram czy zwyciężę,
Pojąć pewnie mnie raczą, i żony, i męże;
Czy zwalczyłem panienki? pytać się: a po co?
Po czytaniu tych wiérszy, powiedzą: a to co?
I ja téż ich zwycięzca, za kaprys wybaczę,
Przyznam siebie walecznym, że cokolwiek znaczę. —
Czém śmiało w wojnę idę mówiąc między nami,
Nad wszystkie szczęścia ludzkie, walka s kobiétami —
Skądże-by, bóstwa zgody, czcili cnotę duszy?
Martwy! kogo płci piękna w walkę nie poruszy —
Któż? prawdę tę nie przyzna? choć niby rzecz płocha,
Trup w życiu! kto nie kochał, lub się dziś nie kocha. —
Nie przeczcie! płci obydwie, tak jak ja nie przeczę,
Bo ten łotrzyk lub zwalczy, lub różą wysiecze,
A po-cóż żyć bez życia? lub bolesne kary
Bądź! każdy Anakreon, czyś młody, czyś stary —
Trzy razy żeniłem się, pochwalam kochanie,
O wielki Anakreon! wielkie twoje zdanie! —
Wesołość! darze luby w prawach przyrodzenia,
Od nieba jawnie dany, szczęściem dla stworzenia. —
Te władze nad pojęcie trzpiota, i sensata,
Tajne w zakres początku, i skończenia świata —
Pyłek z pyłkiem, liść z liściem; łańcuchem ogniwa,
Że natura nie martwa, nie nicość, i żywa —
I wojna! pisma mego niech zwycięża zdanie,
Że ludziom, życiem życia, wesołość kochanie. —



Nowości.

Jan Feliks Piwarski, nauczyciel, wydaje w Warszawie *Naukę rysunku we IV* częściach. Znany jest talent p. Piwarskiego. Jego *Album cynkograficzne*, jako miejscowość warszawską obchodzące, bardzo jest poszukiwaném.

Ejssymontt Mieczysław Wacław, ma zamiar wydać *Swiętojanki*, nowinkę dla gospodarzy. Już podobno zapóźno.

Scisłowska Zofija przygotowywa na rok przyszły noworocznik lubelski pod nazwą *Fijołek*.

Michał Wacław Gliszczyński, nauczyciel szkół publicznych, przetłumaczył na język polski *Cousin'a* Historiję Filozofii XVIII wieku.

Znany muzyk z ulubionych powszechnie utworów swoich Józef Nowakowski, wydaje u Spiessa Szkołę na Fortepian.

Wanda Malecka, która tyle przekładów swoich ogłosiła już drukiem i była Redaktorką pisma p. t. *Bronisława*, przetłumaczyła nową powieść p. t. *Człowiek i pieniądze*.

Ksiądz Rzewuski przetłumaczył *Powieści moralne*.

Gdy w Warszawie Leon Glücksberg wydaje kronikę Stryjkowskiego, we Lwowie zakład naukowy imienia Ossolińskich zamyśla ogłosić drukiem kronikę *Nestora*, któraby i Tymkowskiego i Szlecera edycije przewyższała pod względem dokładności. Po Nestorze ma nastąpić Dytmar, lecz tylko w urywku, stosującym się do historyi polskiéj.

